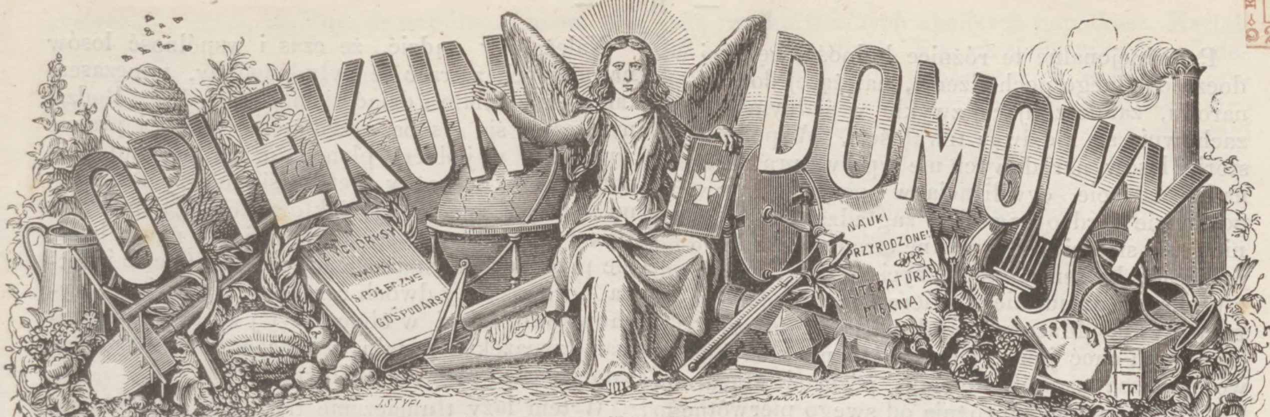


Warszawa dnia 27 Marca / 8 Kwietnia 1868 roku.

Nr 14. { Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. } Rok IV.

KUJAWIACY.

Nie ma kraju na świecie, któregoby ludność nawet zupełnie jednoplemienna, nie dzieliła się na pewną liczbę poddziałów, różniących się od siebie w drobniejszych lub ważniejszych rysach, ale zawsze stanowczo i tak wyraźnie, że to od razu oko postrzegacza uderzać musi. Przy pilniejszem badaniu, różnice te dostrzedz można wszędzie: znajdziemy ją w budowie ciała, rysach twarzy, znajdziemy w ubiorze, w sposobie życia, w obyczajach, w języku, w obrzędach i przesądach, w pieśniach, podaniach i zabawach, chociaż znowu obok tych różnic niepodobna nie dostrzedz, wspólnych cech plemiennych i narodowych, daleko wyraźniejszych i ogólniejszych niż pierwsze.



Kujawiacy.—(Rysunek Kozarskiego; wycięty w drzeworytni Styfiego).

Prowincjonalne te różnice ludności będącej widocznie jednego pochodzenia, należącej do jednego narodu, zamieszkującej zwykle w jednym kraju—zachowują się z dziwną trwałością. Wspólność historji i losów narodowych nie wpływa prawie wcale na ich zatarcie, cywilizacja w postępowym swoim pochodzie bardzo powoli je zagładza, nawet przeniesienie się zbiorowe w inne strony, oddalenie od miejsca w którem te cechy życie wzięły, połączone z postępem czasu, nie wywierają na nie stanowczego wpływu. Mazury przed wiekami przesiedleni do Galicji choć już niejedno pokolenie złożyło głowę i miejsca ustąpiło innemu, pozostali Mazurami i w gruncie mniej się różnią od swego pierwotnego typu, niż od ludności która ich otacza.

Czem się to dzieje? zkąd powstał taki podział? co go utrwala? czy ludzie co się mienią panami i obywatelami świata, są w pewnym względzie jak rośliny przywiązani i przyrośli do miejsca—i charakteru jaki im ich siedlisko jeograficzne nadało, pozbyć się nie są w stanie? czy inny jaki powód temu zjawisku przypisać należy? — odpowiedź na te wszystkie pytania jest zadaniem głębokich badań historycznych, których tu streszczać nie jesteśmy w możności. Powiemy tylko, że zjawisko to, w najogólniejszem pojęciu, da się objaśnić dwoma faktami.

Z jednej strony w przedhistorycznej przeszłości, naród stając się coraz liczniejszym i nie mogąc znaleźć dostatecznych środków do życia w skupieniu, dzielił się na części, złożone każda z pewnej liczby rodzin i te tak zwane pokolenia rozchodziły się coraz dalej, szukając sobie siedliska w nowych okolicach. Przy braku środków szybkiej kommunikacji, każde takie pokolenie zachowawszy wspólne cechy jakie z sobą uniosło, rozwijało się dalej mniej więcej samoistnie; łączyło się w małżeństwa w pośród siebie, co nadawało mu charakterystyczny typ rysów; używało na odzież materjału, który w danej miejscowości był najdogodniejszy; przyjmowało sposób życia najodpowiedniejszy do rodzaju klimatu i zajęcia swego w okolicy, którą zamieszkiwało, a powoli zastósowywało do niego swoje obyczaje. Dalej każde z nich na swój sposób i w zastosowaniu do swych potrzeb kształciło i rozwijało język, każde dla siebie tworzyło pieśni i każde do uroczystości swych obrzędów posługiwało się tem co miało pod ręką—przez co obrzędy same w różnych stronach się różniły. Później pokolenia rozrodzone, zajęły całą przestrzeń zamieszkałego przez się kraju i przypomniały sobie łączący je węzeł wspólnego pochodzenia; węzeł ten wzmacniał się przez to, że bezpośrednio zaczęły sąsiadować z sobą. Plemię pierwotne rozbite na wiele pokoleń, stawało się narodem, uczuwało bracią, zaczynało mieć wspólne interesa, zaczynało się organizować, tworzyło sobie wspólny rząd i kreśliło pierwszą kartę swych dziejów.

Z drugiej jednak strony, w tem zlaniu pojedynczych pokoleń pod jednym rządem, nie było bynajmniej przyczyny, któraby każdemu z nich kazała się zastosować do jakiejś wspólnej normy i wyrzec cech odróżniających je od innych. Potrzeba tego nie dawała się uczuć, nikt nie miał racji uznawać w obyczaju sąsiada wyższości, przyznawać mu pierwszeństwa i stosować się do niego. Wszystkie więc różnice prowincjonalne pozostały jak były.

Należałoby sądzić, że czas i wspólność losów narodowych zatrzeć je były powinny, tymczasem tak się nie działo i dziać niemogło nigdzie. Rodziny łączyły się z sobą przedewszystkiem i prawie wyłącznie w jednem plemieniu, co jest zupełnie naturalnem, bo każdy chętniej się kojarzy z bliższemi których zna lepiej, i którzy obyczajem wcale się od niego nie różnią. Wyjątki jeżeli nawet były, nic przeciw temu stanowić nie mogły. Ojciec i matka pochodzący z dwóch rozmaitych prowincji, wychowywali dzieci w obyczaju tej którą zamieszkiwali, związek więc taki w niczem nie wpływał na zatarcie cech prowincjonalnych.

W tem leży tłumaczenie trwałości i żywotności owych cech odrębnych, jaką we wszystkich krajach mają rozmaite cząstki jednego i tego samego narodu, — w tem leży także powód, że żadna okolica nie ma powodu i prawa wyższości swojej, pod tym względem nad innemi wywodzić.

I u nas także jak wszędzie, różne okolice zamieszkuje naród, który mimo cech wspólnych, przedstawia przecież takie odrębności miejscowe, że je na pierwszy rzut oka od siebie odróżnić można. Nikt Krakowiaka Podlasiakiem nie nazwie, ani Kujawiaka za Mazura nie weźmie. Po ubiorze, akcencie, po tysiącu innych szczegółów, każdy ktokolwiek choć trochę przypatrzył się ludowi, dopatrzy tych różnic jakie się przed wiekami w różnych jego cząstkach wyrobiły, a których wieki nie zatarły.

Zapewne, że kiedyś cywilizacja wiele z tego co jest rażącego w tej odrębności usunie i zatrze, nigdy jednakże nie zdoła zniszczyć jej zupełnie, nigdy świat nie stanie się jednostajną massą jednostek, nie różniących się wcale językiem i obyczajem. Jeżeli zaprzeczyć trudno, że dążenia cywilizacyjne ludzkości idą poniekąd w tym kierunku, jeżeli się nawet widocznie do niego w sferach wykształconego społeczeństwa zbliżają, jeżeli wyradzają tu i owdzie ludzi z kosmopolitycznemi pojęciami i dążeniami—nie dowodzi to jeszcze, żeby skosmopolityzowanie ogólne nie miało być niedościgłem marzeniem. Gdyby cywilizacja postawiła je sobie za cel i powiedziała wyraźnie, że do tego celu zmierza, natenczas powiedziećby wypadło, że jej droga podobną jest do drogi owych linij krzywych w matematyce, co wiecznie zbliżają się do pewnej linji prostej, lecz przedłużone do nieskończoności, nigdy się z nią spotkać nie mogą.

Prosząc czytelników, ażeby nam wybaczyć zechcieli ten przydługi podobno wstęp, powiemy w tym artykule kilka słów o Kujawiakach, których charakterystykę twarzy i ubioru starał się ująć artysta w załączonym do niniejszego artykułu obrazku.

Jeżeli weźmiemy przed siebie mappę Królestwa Polskiego, na której się ono jak wiadomo przedstawia w postaci dosyć wielkiego korpusu, połączonego od strony północno-wschodniej wązkim skrawkiem ziemi z dzisiejszą gubernją Suwałkską, to siedlisko ludu Kujawskiego szukać winniśmy w stronie północno-zachodniej owego głównego korpusu. Lud ten zamieszkuje lewy brzeg Wisły począwszy od Bygdoszczy przezwanej po niemiecku Brombergiem, aż po za Włocławek i Kowal. W głąb' kraju ciągnie się on na zachód i południe aż po za jezioro Gopło, główny zaś rdzeń jego, w którym najwierniej zachował się stary charakte-

rystyczny obyczaj, znajduje się na północ i na wschód tegoż jeziora.

Ziemia, którą zamieszkują jest urodzajna, to też Kujawiacy są w ogólności zamożni, co znać zaraz w ich obyczaju, sposobie życia, w ubiorze i budowlach. Dary natury same przez się nie są w stanie zapewnić dobrobytu ludowi, potrzeba pracy ażeby z nich mógł korzystać, to też ta zamożność która zwiedzającego zamieszkałą przez nich część kraju mile uderza, daje wymowne świadectwa ich pracowitości i zabiegliwości.

Typ rysów twarzy jest w ogóle przyjemny i piękny. Kolor włosów ciemny, a sposób ich noszenia różny od innych okolic kraju; kobiety a nawet dziewczęta, dosyć krótko je sobie przystrzygają z tyłu tak że ledwie ramion dochodzą, mężczyzni rozbierają po środku głowy i w długich puklach rozpuszczają na obie strony. Uprzejme, ujmujące spojrzenie, niekiedy u starszych imponujące powagą, dowcip, wrodzona wesołość, obok czerstwości i kwitnącego zdrowia, dodają wdzięku ich rysom. Typ nosa jest zazwyczaj regularny, kształt jego pociągły. Budowa ciała silna, muskularna, choć nie wysoka, a kobiety są częściej nawet niskie niż średniego wzrostu. Temperament i ruchy umiarkowanie żywe, raczej powolne niż rzutkie i porywcze, nie są przecież ślamazarnemi i ociężałemi. Lubią szczególniej pracę w roli i koło koni.

Odzież Kujawiaków odmienna także od innych okolic kraju barwą i krojem, bywa nawet przedmiotem zbytku u zamożniejszych, a w ogóle jest sutą, dostatnią i z dobrego materjału uszytą. Granatowa sukienna sukmana ze stojącym kołnierzem i wyłogami, zapięta na piersiach na haftki, spodnie w paski lub zupełnie niebieskie, buty skórzane czarne z niskiemi wykładanemi cholewami, a na to wszystko *kiereja*, rodzaj obszernej szuby z błękitnego lub granatowego sukna z szerokiemi rękawami i kapturkiem z tyłu ściąganym na sznurki, który w czasie słoty włożyć można na czapkę dla przykrycia głowy, lub *bucha*, płaszcz sukienny bez kuptura, przepasane pasem włóczkowym barwy granatowej mieszanej z amarantową — stanowią strój Kujawiaka; w lecie używają kaftana, z krótkiemi do łokci tylko dochodzącemi rękawami i krótkiemi połami, podobnież zapinanego na haftki.

Kobiety podobnież jak mężczyzni, mają przeważnie upodobanie w barwie granatowej lub błękitnej. Czepek i tu jak w innych okolicach odróżnia kobietę zamężną lub wdowę od dziewczyny, nie poprzestając na nim jednak, obwiązują głowę chustką wełnianą, co podobnież czynią dziewczęta. Dalej noszą kaftaniki lub kabaty granatowe albo ciemnozielone sukienne, zapinane na haftki, ozdobione guziczkami, opatrzone krótką pelerynką. Szyję zdobi kilka sznurków korali. Pod kaftan używają ściąganego stanika płóciennego lub kamlotowego bez rękawów. Spódnica granatowa sukienna lub kamlotowa, a nawet jedwabna w kraty albo jaskrawowzorzysta, uzupełnia strój świąteczny. Na dzień powszedni służą dreliszkowe albo płócienkowe spódnice, również ze stanem ściąganym bez rękawów. Winniśmy wspomnieć, że i tu jak prawie wszędzie, fartuch stanowi niezbędną część kobiecego ubrania. Kujawianki noszą fartuchy szerokie płócienkowe, najczęściej błękitne lub białe.

Chaty powszechnie chałupami zwane, odznaczają się czystością, porządkiem i obfitością sprzętów, jaką rzadko w innych okolicach napotkasz. Kształt ich i poszycie słomą, nie różni się w ogóle od domów mieszkalnych włościańskich w innych częściach kraju. Wewnątrz za to wszędzie napotkać można wysoko pierzynami usłane łóżko, szafy i skrzynki malowane jaskrawo, pełne mis i talerzy, wiele obrazów świętych na ścianach i w ogólności większy niż gdzieindziej dostatek. Cenniejsze rzeczy mieszczą się w przyległej izbie zwanej i tu jak u Mazurów *komorą*, nie mającej wyjścia na zewnątrz domu.

Kujawiacy lubią dworność, jeżdżą zwykle parą koni, wozem okutym, a służba gospodarza składa się zazwyczaj z czterech osób: parobka, średniaka, chłopaka i dziewki. Służba ta nie jest bynajmniej zbyteczną, wyborne grunta wymagają pracy, którą odwdzięczają sowicie.

Cóż jeszcze dodać do tej charakterystyki pobieżnej. Jeżeli na stonę zalet i przymiotów dołączymy wspólną wszystkim Słowianom gościnność, prostotę i czystość obyczajów; jeżeli dodamy pobożność a przytem wesołość i dowcip, który się dopiero wtedy w złośliwość przeradza gdy go wódka w karczmie podnieci, co najczęściej tylko w dni świąteczne się dzieje; jeżeli na stronę przeciwną dorzucimy powszechne między ludem zabobony i gusła, które dopiero rozwój oświaty ostatecznie wykorzenić może, pewną skłonność do bójek, zwad i kłótni, która się także najczęściej tylko w karczmach wyradzać zwykła; jeżeli dodamy, że w pasie nadgranicznym zagęściło się demoralizujące rzemiosło przemytników, krzywiąc i psując charakter ludowy, przeciw czemu podobnież tylko postęp światła, wywalczający uznanie i zastosowanie ekonomicznej zasady wolnego handlu, oddziałać jest w możności— będzie to już podobno wszystko, co nam w tym krótkim artykule powiedzieć należało, z pieśniami bowiem Kujawskiemi zaznajomili nas już skrzętni ich zbieracze, a taniec tego ludu *Kujawiak* powolniejszy i posuwistszy od oberka, nawet do salonów się dostał lubo w niedokładnem naśladowaniu.

Władysław S.

ZNALEZIONY WÓR ZŁOTA.

(Ballada z ludowego podania),

poświęcona Mani, Julkowi i Misi.

Szło raz trzech zbójców samotną drogą
W dzień letni, w upał i skwar:
Ani się wszyscy posilić mogą,
Ni napić, chroniąc się kar.

W tem się przyłącza pielgrzym sędziwy
Ze świętych idący stron,
Mina poważna, włos jego siwy;
Zbójcy ciekawi, kto on?

,,Bóg z Wami bracia!" spotkanym rzecze.
,,Bóg z tobą" odrzekną wraz,
,,Dokąd to droga zacny człowiecze
,,Wiedzie ta sama, co nas?"

,,Ja z Jezuralem!—idę zdaleka,
,,Spełniłem dany mój ślub
,,Za grzechy przeszłe, Boga-Człowieka,
,,Tam łzami oblałem grób.

,,A wy skąd bracia?" pielgrzym zapyta,
Podróżni milczą jak głaz,
Bo ich występne serca dziś chwyta
Jakiś wstyd po pierwszy raz.

Nie rzekli... pielgrzym nie pyta dalej
Lecz ptaków poznał z ich piór,
Aż idąc razem, tak napotkali
Na drodze pieniędzy wór.

Starzec go pierwszy spostrzegł zdaleka,
,,Wór złota!" krzyknie ,,ot tam",
A po okrzyku pokornie czeka:
,,Czy on mnie, czyli też wam?"

I w zbójcach czasem bywa sumienie,
,,Wyście ujrzeli, on wasz!
,,Może nam starcze na wspomożenie,
,,Tych skarbów jakąś część dasz."

,,O nie dam nic i nic nie biorę,
Tu choć dukatów jest ćwierć,
Ja widzę wewnątrz duszącą zmorę,
Ja widzę zgubę i śmierć!"

I po tych słowach, kijem pielgrzyma
Okłada potężnie wór.
Zbójcy krzyknęli: ,,Rozumu nie ma"—
I śmiechu rozległ się wtór.

Rozpękło płótno pod ciosem kija,
Błysnęło złoto jak dzień;
Zbierać je każdy zbójca się zwija,
A pielgrzym zniknął by cień.

,,Myśmy bogaci! spieszmy więc prędzej
,,Do tej gospody pod las,
,,Skąd wczoraj jeszcze dla naszej nędzy,
Śmiał karczmarz wyrzucić nas."

I poszli.
,,Hola! héj gospodarzu
,,Daj zaraz jeść nam i pić!
,,Niczego nie szczędź panie karczmarzu,
,,Jeżeli miło ci żyć."

,,Z pod stępla prosto oto masz złoto,
,,Daj najlepszego z twych win".
Karczmarz poskoczył służyć z ochotą
I tuzin dzbanów zniósł syn.

A gdy już legli ciężko spojeni,
Jeden z nich ostróżnie wstał,
Który z pomocą karczemnych cieni
W swój dzbanek wodę wciąż lał.

Sztyletu jego klinga zabłysła:
Dwakroć się słyszeć dał jęk,
Dwakroć krew ciepła z piersi wytrysła
I złota rozdarł się brzęk.

Zbójca bogaty skradzionem mieniem
Ucieka siadłszy na koń,
Lecz w drodze walkę toczy z sumieniem,
Skrwawioną ogląda dłoń.

,,Dotąd jam tylko w obce mi serca
,,Zabójczy pogrążał nóż,
,,A dziś jam braci moich morderca,
,,Jam podły z podłych dziś już."

I odtąd tak go w sercu dręczyło,
Że chociaż złota miał huk,
Dzień miał ponury i noc niemiłą,
Ze snu przebudzał go stuk.

I tak płynęły mu dni żałosne,
Że życia nie mógł już znieść,
Więc na najwyższą śród boru sosnę
Z powrozem począł już leźć.

Aż wówczas stanął pielgrzym przed oczy,
Zaszumiał wichrami bór:
,,A co? czy pomnisz mój głos proroczy,
,,Że śmiercią napchan ów wór?

,,Rzuć myśl zbrodniczą i na kolana!
,,Śmierć zbrodni czyż spłaci dług?
,,Ukorz się, ufaj miłości Pana,
,,Bo ten Pan, ten Pan—to Bóg!

,,Ukorz się! wyznaj mi swoje grzechy
,,Ty we krwi choć po sam brzeg:
,,Żałującemu Bóg da pociechy
,,Krew w lśniący przemieni śnieg!"

I ukląkł zbójca.—Blade oblicze
Kroplisty oblał mu pot,
Takiego potu wszystkim wam życzę,
Pot taki, to źródło cnót.

Płacz się dał słyszeć szczery, rzewliwy
I słowa: ,,idź, a nie grzész!"
Po absolucji pielgrzym sędziwy
Wziął zbójcy sztylet — dał krzyż.

Juljan Miłkowski.

CZARODZIEJSKA DOLINA.

(*Ciąg dalszy,*—patrz Numer 13).

Podziękowawszy Bogu, że nie pozwolił nam umrzeć okropną śmiercią i zaspokoiwszy pragnienie, zaczęliśmy się przyglądać otaczającej nas miejscowości. Wnosząc z tego cośmy dokoła widzieli, zdawało się nam, że nie znajdziemy tu niczego czemby się posilić można. Skała była zupełnie naga, a tylko z rozpadlin gdzieniegdzie sterczały karłowate cedry; nad strumieniem rosła wprawdzie kupka wierzb i trawy nie brakło, ale nie sądziliśmy abyśmy mogli napotkać tu jaką zwierzynę, co przy wyczerpanych naszych zapasach, było okolicznością nader smutną. Mieliżbyśmy zaspokoiwszy pragnienie, umrzeć śmiercią głodową?

Takie to myśli nas trapiły, bośmy nic nie jedli od rana, a wszystkie nasze zapasy ograniczały się na kawale wędzonego mięsa.

— Trzeba to zgotować i zrobić zupę, rzekła Anna, przynajmniej dzieci będą miały jakikolwiek posiłek. Biedna kobieta myśląc o dzieciach zapomniała o sobie, lubo również jak i one potrzebowała posiłku.

— Ha! cóż robić? weźmij Pawle siekierę i pójdziemy po drwa—widziałem w jednem miejscu kilka jodeł, z których wyborny mieć będziem ogień.

Nie były tu jednak jodły jak mi się zdawało, ale pewien rodzaj akacji zwanej przez hiszpanów *algarobo*, podobny z wejrzenia do drzew iglastych. Drzewo obciążone było różowemi strąkami, na półtora cala szerokiemi a prawie na stopę długiemi, w których mieściły się nasiona wybornego smaku. Znał je z tego względu i Paweł, to też ujrzawszy zawołał:

— Panie, panie, niechno pan patrzy! Pan Bóg dał nam na obiad fasole i miód!

Pobiegliśmy ku akacji i gdym zbierał smaczne jej strąki, Paweł tymczasem ściął parę jodeł, któ-

re także w tem miejscu rosły. Już nabrałem pełną chustkę strąków, gdy przywołał mię Paweł.

— Panie, panie! proszę tu bliżej! Znalazłem jakieś dziwne zwierzątko.

Nadbiegłszy w tę stronę, ujrzałem go pochylonego nad norą, z której wychodził jakiś przedmiot podobny do ogona świni.

— Co to jest, Pawle? - zapytałem.

— Nie wiem panie. Nie zdarzyło się mi widzieć nic podobnego w Wirginji: wyglądała to niby na świnię.

— Ciągnij za ogon, Pawle, a zobaczym co to takiego.

— Ciągnę, ale nic zrobić nie mogę.—I to mówiąc ciągnął z całej siły, ale zwierzę wcale się nie pokazywało.

— Widziałeś je wprzódy, zanim się tu schowało?—zapytałem.

— Tak widziałem, ale nim zdołałem tu przybiedz, już się skryło.

— Jakże wyglądało?

— Jak świnia, tylko grzbiet miała taką łuską okryty jak żółw.

— A, wiem, jestto *armadillo* (stonóg domowy).

Było to istotnie jedno z tych ciekawych zwierząt, które się znajdują w Meksyku i w południowych Stanach Zjednoczonych. Są one zupełnie bezbronne, żyją trawą i roślinami. Ponieważ nie biegają prędko łatwo je dopędzić, a napadnięte zwijają się w kłębek jak jeże; jeżeli się znajdują blisko swej nory kryją się w nią, wszakże podobnie jak strusie, skoro tylko schowają swą głowę, już zdaje się im że zupełnie są ukryte.

Widocznem było, że i ten któregośmy mieli przed sobą, nie mógł wejść głębiej w norę, ale i to także jasnem było, że nigdy go nie dostaniem ciągnąc za ogon, tak się wbił nogami i swoim pancerzem w skałę.

— Trzebaby pary wołów aby go z tamtąd wyciągnąć—zauważył Paweł, po nowych daremnych usiłowaniach.

Słyszałem że indjanie, którzy przepadają za jego mięsem, mają bardzo łatwy sposób wyprowadzania tych zwierząt z nory. Ukląkłem tedy i wziąwszy gałązkę cedrową, począłem nią lekko łachotać tylne jego nogi; jakoż muszkuły zaczęły się odwalniać, pancerz odpadł, całe ciało zmiękło. Wówczas porwałem go prędko za nogi i wyrzuciłem pod nogi Pawła, który jednem cięciem siekiery odrąbał mu głowę. Należał on wprawdzie do mniejszych gatunków i trochę tylko większy był od naszego królika, ale takie właśnie najwięcej przez indjan są poszukiwane.

Niespodziane łupy nasze wielką uciechę całemu rodzeństwu sprawiły, jakkolwiek żona moja miała jakiś wstręt do armadilla. Ale akacja za to przez wszystkich z wielką radością była przyjęta.

— A teraz, moi panowie—mówił dalej pan B. gdym opowiedział wam dzieje odkrycia akacji, może zechcecie szkosztować piwa, które obecnie z jej nasion wyrabiam. Gorsze ono wprawdzie od piwa angielskiego i porteru, ale jak na pustynię—ujdzie.

To rzekłszy, przyniósł ogromne naczynie, z którego nalał w nasze szklanki płyn podobny z koloru do piwa. Piliśmy go z wielką przyjemnością, w smaku bowiem wielce przypominał świeży jabłecznik.

Tymczasem szanowny nasz gospodarz tak mówił dalej:

— Wszyscyśmy byli zajęci w szczupłem naszem obozowisku. Anna gotowała z mięsem nasiona akacji w kociołku żelaznym; Paweł podtrzymywał ogień; Witoldek i Boleś smoktali słodkie strąki; ja zaś zdejmowalem skórę z armadilla, przygotowując go na rożen. Koń pasł się spokojnie nad brzegiem strumienia, a psy pilnie przypatrywały się mojej czynności.

Wreszcie obiad nasz był gotów; ale zaszła ważna kwestja, jak spożywać te dary Boże bez talerzy, łyżek i widelców, bośmy tego wszystkiego z wozu nie zabrali. Ja tylko z Pawłem mieliśmy noże myśliwskie, któremi jakkolwiek łowiliśmy w kociołku mięso i bób. Zupy jednak nie można było jeść tym sposobem, to też musieliśmy wstawić na kilka chwil kociołek do wody, a gdy znajdująca się w nim zupa ostygła, Anna z dziećmi piły ją kolejno przykładając do ust kociołek.

My z Pawłem obeszliśmy się bez zupy, woląc coś posilniejszego. Ale też oprócz nas obu, armadillo nie znalazło więcej ochotników nawet pomimo moich zapewnień, że mięso jego wielce przypomina prosięcinę pieczoną.

Gdy słońce zaczęło się zniżać ku zachodowi, należało pomyśleć o wyszukaniu najodpowiedniejszego na spoczynek miejsca. Cieplejsze okrycia pozostawiliśmy w wozie, a tymczasem powietrze bardzo ochłodło, jak to ma miejsce zawsze wieczorem w pobliżu gór śnieżnych; nawet ogień nie bardzoby nas od zimna i wilgoci zabezpieczył.

Przyszło mi więc na myśl, czyby nie warto było wrócić do wozu, który się znajdował o jaką milę od nas i zabrać ztamtąd co potrzeba

Z razu chciałem się jeden udać zostawiając Pawla przy żonie i dzieciach, ale na prośby Anny wziąłem go z sobą, powierzywszy czuwanie nad bezpieczeństwem rodziny Witoldowi i Bolesiowi. Wsiadłszy tedy na konia puściłem się w drogę, zalecając synom aby dali ognia w razie niebezpieczeństwa.

Powietrze było tak czyste, że z miejsca w którem znajdowaliśmy się, mogliśmy widzieć wyraźne zarysy wozu naszego;—to też łatwo nam było w tę stronę się kierować. W drodze myślałem sobie, że jeżeli wilki nie zjadły zupełnie naszego wołu, trzeba będzie zdjąć z niego skórę i zabrać jakie się znajdzie mięso, lubo wiedziałem, że był chudy jak szkielet.

Wtem okrzyk Pawła zwrócił moję uwagę: zatrzymał się i ręką coś wskazywał. Spojrzawszy w tę stronę, ujrzałem jakiś przedmiot podobny do wielkiego zwierzęcia.

— Panie—rzekł Paweł, nie jest-że to bawoł?

— Być może—odpowiedziałem, ale co czynić? karabina z sobą nie wziąłem. Potrzymaj konia Pawle, a podejdę do niego jak można najbliżej, i sprobuję go zabić z pistoletu.

Pełznąc na czworakach zbliżałem się powoli do tajemniczego zwierzęcia, coraz mocniej przekonany, że istotnie jest bawołem. Wreszcie, podpełzłszy na odległość strzału pistoletowego, przygotowywałem się dać ognia. Gdym już podniósł pi-

stolet, koń mój zarżał, a tajemnicze zwierzę odpowiedziało nań rykiem, który tylko wół mógł wydać. Był to istotnie biedny nasz wół, który orzeźwiony chłodem wieczornym powstał i instynktowo tą samą drogą którą i myśmy się udali, zbliżał się ku górze.

Już mieliśmy się puścić dalej pozostawiając wołu własnemu instynktowi, gdy przyszło mi na myśl, że gdybyśmy mu dali trochę wody, moglibyśmy z łatwością użyć go wraz z koniem do odwiezienia wozu ku górze. Jakżeby się Anna ucieszyła widząc nas wracających z wołem, wozem i wszystkiemi rzeczami, jakieśmy z sobą wieźli. To też postanowiliśmy tak zrobić. Wodę wprawdzie mieliśmy z sobą, ale otwór naczynia tak był mały, że w żaden sposób wół nie mógłby się z niego napić.

— Jest na to sposób—rzekł Paweł, idźmy dalej, a doszedłszy do wozu wlejem wodę do korytka i napoim go. Aj, aj, toż się ucieszy pani!

Jakoż tak zrobiliśmy; a w pół godziny potem, wzmocniony na siłach wół, ciągnął wóz wraz z koniem. Kierowaliśmy się podług blasku ogniska, którego płomień odbijał się o ciemne boki góry. Jeszcześmy z wiorstę drogi mieli do przebycia, gdy od strony ogniska rozległ się wystrzał z fuzji. Okropna trwoga mię opanowała, czyliżby indjanie na Annę i dzieci napadli? lub może przestraszyło ich zbliżenie się jakiego zwierza dzikiego? Nie było co myśleć; pozostawiwszy Pawła przy wozie, nabiłem pistolet i śpiesznie w tę stronę pobiegłem. Parę razy stawałem dla nabrania oddechu, ale nic zgoła słyszeć nie mogłem. Co mogło znaczyć to milczenie? Co się stało z psami? Czyliżby indjanie ich wszystkich pozabijali? Nie wiedziałem co myśleć...

Biegłem z trwogą w duszy, zdecydowany rzucić się pomiędzy nieprzyjaciół, ktokolwiekby oni byli i drogo przedać swe życie.

Wreszcie zbliżyłem się i wyraźnie mogłem odróżnić to co koło ogniska się działo. Z jakąż radością ujrzałem żonę i obie dzieweczki siedzące przy ogniu. Lecz gdzież się chłopcy podzieli? Byłem przekonany, że żaden z nich naprózno nie strzelił, ale jak wytłumaczyć sobie ten spokój Anny?

(*D. c. n.*)

TYTUŃ.

Ustęp II-gi.

(Patrzeć Nr. 1-szy Opiekuna z r. b).

Człowiek zaspokoiwszy potrzeby utrzymywania ciała przez pokarmy i napoje, owładnięty bywa skłonnością do rozweselenia się i odurzenia dla zniszczenia trosków życia, do tego celu używa mianowicie trunków upajających, których głównym pierwiastkiem jest alkohol i przedmiotów odurzających—narkotyków.

Najbardziej upowszechnionym w świecie narkotykiem jest tytuń, używany trzema sposobami: albo przez żucie, albo przez palenie, albo przez zażywanie (tabaka).

Obliczono, że tytuń w różnych swoich postaciach i sposobach, używany bywa przez 800 miljonów ludzi (na 1000 miljonów mieszkańców całej kuli ziemskiej), że na uprawę tytuniu używa się 5,600,000 morgów ziemi, z których każda wydaje po 800 f. czyli razem 4,480 miljonów funtów wynoszących (oprócz cła pobieranego przez różne kraje od przywożonego i podatku od fabrykowanego w kraju tytuniu) 246 mil. rubli.

Zwykle uważają amerykańskie zwrotnikowe kraje za ojczyznę tytuniu, jakkolwiek nowsze badania dowiodły, że w Chinach jeszcze przed odkryciem Ameryki, był w powszechnem użyciu. To tylko pewna, że Kolumb w roku 1492 widział naczelników plemion wyspy Kuba palących cygara, a Kortez zastał ten zwyczaj w Meksyku. Hiszpanie tytuń przywieźli z sobą do swojej ojczyzny z Ameryki, do Francji wprowadzony został przez Nicota w r. 1560, a do Anglji w r. 1586 przez Franciszka Drake.

Roślina tytuniowa najłatwiej się aklimatyzuje i można ją z powodzeniem sadzić od równika do 50 stopnia północnej szerokości na całej ziemi, i używaną bywa przez mieszkańców najrozmaitszych klimatów i ludzi wszelkiego stopnia wykształcenia.

W Europie—mówi Johnston:—fajka, cygaro i tabakierka, są powszechnym środkiem rozweselającym, od słonecznych płaszczyzn Kastylii do Lodowatego Archangielska, od Urala do Islandji.

Jednak nie tak łatwo tytuń rozszerzył swoje panowanie nad światem — wprowadzenie tytuniu wszędzie napotykało opór ze strony panujących i ze strony duchowieństwa. Król Jakób wydał odezwę przeciw tytuniowi, nazywając używanie go odrażliwem dla oka, obrzydliwem dla nosa, szkodliwem dla mózgu, niebezpiecznem dla płuc; Papież Urban VIII rzucił klątwę na roślinę tytuniową; w Rossji używającego tytuń za pierwszym razem karano knutem, za drugim śmiercią; w Turcji Sułtan i Imani ogłosili używanie tytuniu grzechem przeciw religji.

Ale pomimo wszystkich tych środków, tytuń coraz bardziej się upowszechnił między wszystkiemi klassami społeczeństwa, z wyjątkiem chyba pewnej sekty religijnej, która używanie tytuniu z całą skromnością potępia. Najnamiętniejsi palacze tytuniu są w Turcji i w Persji; w Indjach i kobiety tytuń palą, u Birmanów trzyletnie nawet dzieci, a w Chinach jedwabny kapciuch zawierający fajkę i tytuń, składa część toalety dziewczynek nawet już od 6 roku.

Uprawa tytuniu, pomimo wszelkich wyliczonych wyżej przeszkód, przybrała coraz większe rozmiary. W Anglji konsumowano go w r. 1853 około 30 mil. funtów, rząd angielski pobrał cła blisko 5 mil. funtów szterlingów (40 mil. rubli). Związek celny Niemiecki w r. 1852 wprowadził 365,000 centnarów tytuniu i drugie tyle bez wątpienia sam produkował. W Francji konsumcja tytuniu wynosi przeciętciowo 37 łutów na głowę. W Danji wypadło w r. 1848 na głowę $4^1/_2$ funta, w Belgji $4^3/_4$ funta, w Neu-Süd Walles gdzie tytuń nie ulega opłacie wchodowej, aż 14 funtów.

Taka uprawa tytuniu pociąga za sobą wyniszczenie ziemi, grunt bowiem pod roślinę tytuniową używany coraz bardziej jałowieje, bo centnar tytuniu z ziemi wydobyty, wyciąga z niej siłę roślinną 14 razy większą, niż ją wyciąga centnar pszenicy. Obliczono, iż w ogólności tytuń na całej ziemi uprawiany waży tyle, ile pszenica potrzebna do nasycenia 10 mil. ludności Wielkiej Brytanji, gdzie jak wiadomo, chleb żytni bardzo mało jest używany.

Gatunków różnych tytuniu liczą do 40, należących do 8—10 głównych rodzajów, których są odmianami. Najlepszy tytuń pochodzi z Amerykańskiej wyspy Kuba, po nim idzie tytuń z wyspy Filipińskiej—Luzon, z którego się wyrabiają sławne cygara zwane Manilla. Żółty tytuń pochodzi z Chin i Tybetu, jest on szczególniej przyjemny i łagodny a przytem tak drogi, iż indyjski tytuń sprzedaje się po 10 talarów za funt; tytuń Chiński używa się także na pokrycie cygar.

Tytuń jak na wstępie wspomniano, używa się trzema sposobami; majtkowie i w ogólności ludzie pozostawający zawsze na okrętach, gdzie palenie tytuniu jest wzbronionem, używają go przez żucie. Oprócz tego żują tytuń w wielu krajach północnej Ameryki i w Islandji; w tej ostatniej miejscowości, do tytuniu używanego w kształcie proszku (tabaka), mają różki zakrzywione, z których wsypują go w nos,

przechylając głowę w tył. W Szkocji do zażywania tytuniu, używają nadto jeszcze łyżeczki kościanej, którą tabakę wsypują do nosa.

Tytuniowe liście przerabiają się do palenia i żucia w różny sposób: grubo rozdrobnione przybierają nazwisko „*knaster*," miałko krajane „tytuń", zmoczone syropem i zwinięte w grube kiełbasy używane są do żucia. Cygara fabrykują się z liści, nakrapianych dla lepszego palenia się roztworem saletrzanym.

Do zażywania przygotowują się liście przez nakrapianie ich wodą, układanie w wysokie warstwy w którym stanie zostawiają przez sześć miesięcy, poczem bywają proszkowane, a proszek nakrapiany wodą słoną zamyka się przez czas jakiś w skrzyniach, gdzie nabywa aromatu. Tabaka zwana Rapé czyli wilgotna, fabrykuje się z mięsistych części liści, sucha zaś z żeber liściowych.

Działanie tytuniu na organizację człowieka jest tak różnorodne, jak różnorodne są warunki klimatyczne, temperament ludzi, układ ciała, miara w jakiej się go używa.

Zbyteczne używanie tytuniu, bardziej jak każde inne nadużywanie pokarmów i napojów pociąga za sobą rozliczne a niekiedy nawet gwałtowne choroby i śmierć. Sprowadza ono niekiedy womity, dyarję, drżenie członków, zawrót głowy, konwulsje, paraliż, odrętwienia, cierpienia żołądka i wątroby.

Skutki te używania tytuniu objawiają się najmocniej przy paleniu, przy żuciu i zażywaniu go są one słabsze, wszakże zbyteczne zażywanie tabaki sprowadza niekiedy utratę zmysłu powonienia, nadto palenie i żucie działają mocno na wydzielenie się śliny, co osusza piersi.

Wszystkie te rozmaite objawy w organizacji używających tytuniu, pochodzą z trzech narkotyków już znajdujących się w nim, już tworzących się dopiero skutkiem palenia. Trzy te części składane są: 1° *olejek lotny*, który nie znajduje się w zielonym liściu tytuniowym, ale się dopiero formuje w nim przez suszenie, jeden funt liści zawiera tego olejku nie więcej jak dwa grany; 2° *nikotin*, którego w tytuniu hawańskim się zawiera 2 od sta, a w Wirgińskim blisko 7—jest to zabójczą trucizną działającą prawie tak gwałtownie jak kwas Pruski, że zaś trucizna ta podczas palenia się tytuniu w parę się zamienia, to znajduje się ona ciągle w dymie tytuniowym; 3° *olejek przysmalony* tak zwany sok tytuniowy, który się dopiero formuje w fajce skutkiem spalenia się tytuniu i jest trucizną narkotyczną, której jedna kropla wpuszczona na język kota, zabija go w przeciągu dwóch minut.

Skutki tych trzech narkotyków a mianowicie dwóch pierwszych, zmodyfikowane bywają przez różne okoliczności, a głównie przez kształt i urządzenie fajki. I tak, Tureckie i Indyjskie fajki, w których tytuń powoli się spala a dym przez wodę przechodzi, zatrzymują w tej wodzie wiele części z lotnych narkotyków, a dym daleko łagodniejszy i smaczniejszy dochodzi do ust; też same skutki łagodzące wywiera stambulka Rossyjska z długim cybuchem i fajka Niemiecka z zlewką (Abgus); najszkodliwiej zaś działają krótkie fajeczki i cygara, zwłaszcza dopalane do ostatka, bo wszystkie części narkotyczne dostają się bezpośrednio do ust palacza.

Żucie i zażywanie tytuniu, mniej są szkodliwe niż palenie, przy pierwszem bowiem działa jedna trucizna mniej to jest powstająca z palenia tytuniu—a przy drugiem podczas przygotowania tabaki, ulatnia się wiele części dwóch pierwszych narkotyków.

Wszystko cośmy mówili o tytuniu, powinnoby odwrócić każdego rozsądnego człowieka od używania go w jakikolwiekbądź sposób; doświadczenie nam jednak dowiodło, iż trucizna ta z chciwością połykaną bywa przez wszystkie warstwy społeczeństwa, że lekarze sami którzy najgruntowniej o szkodliwości używania tytuniu są przekonani, nie mogą się od niego odzwyczaić, nie mamy więc nadziei, aby nasze protestacje mogły jakąś reakcją wywołać w używających tytuń, a mianowicie w palaczach — ale kilka wskazówek tu danych, mogą przynajmniej posłużyć do złagodzenia złego, którego całkowicie wytępić nie podobna.

Daniel Neufeld.

WIELBŁĄD.

Wielbłąd należy do rzędu zwierząt *przeżuwających*. Wielbłądów jest dwa gatunki: *Wielbłąd jednogarbny* czyli Dromader (Camelus dromaderius) i *Wielbłąd dwugarbowy* (Camelus bactrianus). Pierwszego zwykle używają w Turcji, Tybecie i w ogólności w całej Azji południowej—w Afryce zaś i w Arabji, drugi gatunek jest powszechniejszy.

Arabja na całej kuli ziemskiej, jest krajem najbardziej suchym—woda bywa tam rzadkiem zjawiskiem.. Wielbląd zaś odznacza się wielką wstrzemięźliwością, bo może przez kilka dni obejść się bez picia. Arabja ma grunt piaszczysty, suchy; wielbłąda nogi są ukształcone tylko do chodzenia po piasku; na gruntach wilgotnych, ślizkich, z największą tylko trudnością postąpić może. Trawy i pastwisk, zupełnie brakuje w tamtych okolicach, wołu tam też nie znajdziesz, ani żadnego ze zwierząt domowych; wielbląd je zastępuje; jego siła i uległość, robią go najsposobniejszym do dźwigania ciężarów. Mięso z niego stanowi dobre pożywienie i może godnie zastąpić wołowinę i baraninę; jego mleko jest bardzo poszukiwane nie tylko samo, ale i przerobione na masło i sery, które są wyborne. Sierść, którą każdorocznie całkiem zrzuca, cienka i miękka, służy do wyrobu rozmaitych tkanin nader rozpowszechnionych. Z odchodowych wyrzutów otrzymuje się *salmiak*, *salamoniak* czyli sól *amoniacka*. Z łoju robią świece, a ze skóry dobry rzemień. Ale największy z nich bywa użytek w dźwiganiu ciężarów, w czem celuje wielbląd jednogarbny; przenosi on przez pustynie zasypane miałkiem piaskiem, jeźdźców i całe karawany kupieckie z ich ładunkiem. Arabowie uważają też wielbłąda za dar niebios, bez którego nie mogliby ani podróżować, ani handlować, ani żyć nawet.

W Turcji, Persji, Arabji, w Egipcie, w Barbarji, i t. d. przewóz towarów odbywa się jedynie tylko za pośrednictwem wielbłądów. Kupcy i podróżni dla uniknienia napadu koczujących Arabów, gromadzą się w towarzystwa mniej więcej liczne, znane pod nazwą karawan. Karawana jest prawie wyłącznie obsłużona przez wielbłądów; więcej ich do niej należy jak ludzi. Objuczają je wedle ich siły, wszystkiemi przedmiotami potrzebnemi do podróży: na jedne kładą chleb, wino, węgle; na drugie mąkę, kaszę, drób; dromadery zaś, służą do użytku podróżnych. Gdy już wszystko jest gotowe, Arab przewodnik wyrusza naprzód, za nim idą wielbłądy objuczone, a na ostatku dromadery. W chwili pochodu, przewodnik rozpoczyna rodzaj pieśni bardzo chrypliwej; jak tylko zwierzęta ją usłyszą, natychmiast iść zaczynają i wedle tonów tej pieśni, czy owe brzmią *allegro* czy też *largo*, przyśpieszają lub zwalniają kroku. Jeżeli karawana musi przyśpieszyć swą podróż,— przewodnik nie przestaje ani na chwilę śpiewać, a gdy jest zmęczony to drugi Arab go zastępuje.

Wielbłąd silniejszy unieść może 1600 funtów.

Łatwość wstrzymania się od picia przez dłuższy czas jaka jest udziałem wielbłądów, nie jest skutkiem nawyknienia, ale raczej budowy ich organizmu. Żołądek ich oprócz czterech części jak u innych przeżuwających, ma jeszcze piątą oddzielną torbę na zapas wody, która się tam długo w stanie zdrowym przechowuje. Jeżeli uczuwają pragnienie lub potrzebę rozpuszczenia suchej paszy jaką się żywią, podnoszą za pomocą ściśnienia muskularnego tę wodą do żołądka, a nawet aż do gardła. Jedząc trawę na dobrej łące, w przeciągu godziny nabiorą tyle paszy ile im potrzeba na 24 godzin, a nawet na dłuższy czas. Lecz jeżeli trawa rzadko kiedy w podróży się spotyka, to ich wstrzemięźliwość taki ubytek wynagradza; wówczas bowiem z uczynionego poprzednio zapasu, biorą do przeżucia bardzo małe ilości. Nie potrzebują one wyborowej strawy, jedzą: piołun, oset, pokrzywę i wszelkie inne kolące rośliny, liście z drzew i t. d.

Mojżesz zalicza wielbłądy do zwierząt nieczystych i zabrania swym współwyznawcom, używania z nich mięsa; ale u Persów i Arabów, bywało ono zastawiane na najlepszych stołach.

Starano się niejednokrotnie zaaklimatyzować wielbłądy w strefach umiarkowanych, ale to się nie powiodło ani w Ameryce, ani w Hiszpanji, ani we Włoszech. Nie dla tego, żeby w tych krajach wyżyć nie mogły albo rozradzać się, owszem, lecz z powodu starań jakich wymagają potrzeby zaopatrzonego umieszczenia na zimę, a może i nieoswojenia z niemi ludzi, stały się one ciężarem dla właścicieli zamiast nieść im pożytek.

Przed kilku laty właściciel dóbr Gólczewa, w powiecie Płockim położonych, sprowadził 4 wielbłądy w celu użycia do maneżu przy młockarni sądząc, że tak silne zwierzęta z korzyścią pracę koni zastąpić będą mogły, zwłaszcza, że utrzymanie ich pod względem strawy nie jest wymyślne. Tymczasem doświadczenie okazało, że nadzieje te nie



Wielbłąd jednogarbny czyli dromader (stron. 111, szpalta 2).

Wielbłąd ma szyję długą, jeden lub dwa garby, jakeśmy wyżej mówili, które nie pochodzą ze skrzywienia kości pacierzowej; ale są tylko mięsistemi naroślami, które się zmniejszają w miarę jak wielbłąd chudnie. Chodzi on na palcach pod skórą ukrytych, pod spodem miękkich jak poduszki.

Wielbłądy u ludów starożytnych, używane były równie jak słonie do wojny. Cyrus posługiwał się niemi w bitwie przeciw Krezusowi; i one z pewnością przyczyniły się do odniesionego zwycięztwa, siejąc przestrach i zamieszanie w nieprzyjacielskiej kawalerji.

Tytus Liviusz wspomina o łucznikach arabskich, uzbrojonych w sześcio-stopowe szpady, aby z wysokości wielbłądów dosięgnąć mogli nieprzyjaciela. Lecz zwykle siadywali na nich ci, co strzelali z łuków; często dwóch żołnierzy siadało na jednym wielbłądzie plecami do siebie, i tym sposobem, dawali radę nacierającym z przodu i z tyłu.

mogły być urzeczywistnione z powodu, iż wielbłądy wcale ciągnąć nie mogły; jedynem ich widać przeznaczeniem, jest dźwiganie ciężarów. Gdy się przekonano że do prac gospodarskich nie są przydatne, zostawiono je w spokoju; czasami tylko owczarze, wyręczali się niemi w przenoszeniu snopków słomy.

Z resztą pasły się na łąkach i przestraszały inwentarz, mianowicie gdy przebywały przy gościńcu; nie jeden z ich przyczyny nastąpił wypadek, nie jedna bryczka wywróconą została, przez zalęknione konie. Nareszcie, w nieodpowiednim żyjąc klimacie, mizerniały, chudły i w prędkim czasie życia dokończyły. *Białodrzew.*

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.